



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem w Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Kobieta w poezjach Lenartowicza.

(Szkic etyczno-literacki).

Lenartowicz był jednym z tych nowych poetów, którzy znali zbliska i kochali szczerze lud wiejski, kochające serce poety rozumiało prostą a szczerą wiarę wieśniaków, czciło prastarą świętość ich zwyczajów, czuło prostą szczerą serce wieśniaczych, umiało cenić ich skromne domowe podstrzeszne cnoty, tradycją nieraz przechodzące z ojca na syna. Wynikiem tego zbliżenia się i z poznania ludu w jego życiu codziennym, przy pracy powszedniej i przy świątecznej zabawie, w weselu zarówno, jako też i w smutku, — była możność realnego, zgodnego z rzeczywistością przedstawienia w poezyi typów ludowych, tak różnego od konwencyonalnych obrazów wielkich rozdzielającej doby naszego romantyzmu. Chłop u Lenartowicza — to nie żaden salonowiec przebrany w strój pasterza, deklamujący ze sztucznym patosem tkliwo-słodkie tyrady wobec również salonowej pasterki, która ma tyle tylko wspólnego z prawdziwą wiejską dziewczyną, że nuci piosenkę o zblakanej w leśsie owieczce... Chłop u Lenartowicza — to rzeczywisty Maciek, czy Bartek, albo Jan, nietylko w chłopską odziany siermięgę, lecz i czujący po chłopsku w głębi swego prostaczego serca.

Równą żywotnością i prawdą nacechowane są i kobiece postacie u naszego poety. W kreśleniu i kobiece postacie u naszego poety. W kreśleniu charakterów ludzkich posiadał Lenartowicz nadzwyczaj delikatny pęd, subtelne cieniowanie i miękkie dotknięcia, tak bardzo nadające się właśnie przy odtwarzaniu najlżejszych choćby

poruszeń duszy niewieściej; miał przytem głęboką znajomość dziewczęcego serca, umiał odczuć najskrytsze i najmniej uchwytnie drgnięcia falującego w niem uczucia, — i z niezrównaną subtelnością każdą z nich odrysować. Dzięki tym zdolnościom poety kreacje jego niewieście odznaczają się niezrównanym wdziękiem, im prostszym i szczerzym, tem miłszym, i kryształową przejrzystością, są przytem nadzwyczaj wyraźne i wszechstronnie nieraz wykończone. Tyle zaznaczyć należy, co do artystycznego ich wykończenia; co się zaś tyczy wysokiej skali moralnej ich charakterów — o tem powiemy przy końcu niniejszego zarysu, przelustrowawszy szeregi tych wdzięcznych i żywych postaci.

Przypatrzmy się oto jednej takiej dziewczynie, podobnej zresztą do wielu innych dziewcząt wiejskich. Nie jest to żaden z ogólnej masy wyjątek, ale przeciętny typ. — Więc najprzód maluje nam poeta jej wygląd zewnętrzny: dziewczę kwitnie — „kieby malina“ — usta ma „różane, z lilją mieszane,“ na których igra wesoły uśmiech; włosy jej są złociste, jasne, w bujne zebrane warkocze, w które codzien zrana wpina maki polne i kwiatki z łąnu; oczy ma „ogniste,“ które same się śmieją do życia i wesela. Oj lubiż — bo wesele i zabawy nasza dziewczyna!... W tańcu — to skacze tak zwinnie — „jak sarenka;“ będąc wszakże tak „szczerą w ohoocie,“ niemniej jest pilną przy pracy, którą słodzi sobie piosenkami, — a ma ich tyle w główce — „ile kwiatów rośnie w dąbrowie“... Więc — czy to piele zagon ojcowski, czy zbiera dla krówki zioła na łące lub kwiaty rwie na wianek, czy wreszcie w izbie mota nić złotą z kołowrotka, — zawsze dźwięczy u niej na ustach piosenka — raz wesoła — to znów smutna... Tak to — przy cichej pracy — przy piosence — schodzi jej szybko dzień po dniu, cały tydzień zbiegnie niepostrzeżenie... Nadchodzi w końcu niedziela, a z nią miły odpoczynek po pracy, wesele i zabawa w gronie

rówieśnic. Czyste sumienie, zadowolone z całotygodniowej pracy moralnej, przyczynia się do tem weselszego użycia chwil poświęconych zaśluzonemu odpoczynkowi i zabawom: ileż tam wówczas śmiechów — i wesołości szczerzej — i ochoty!... A oto zbliżają się zielone świątki, uroczystość wielka i na wsi jedna z najweselszych bo przypada w najpiękniejszą porę roku, gdy wiosna jest w pełnym rozkwicie, uśmiecha się ludzom bogatemi bukietami ziół i kwiatów polnych, a w serce wlewa jakąś otuchę i radość niepojętą. Więc dziewczyna przystraja chatkę, aby wyglądała weselnie i odświętnie: więc najprzód uzbierawszy w gaju gałązek wierzby i lipowych prątków chatę niemi mai; ustawia kwiaty w okienku, a sionkę uściela wonnym tatarskiem. odświeżywszy izbę wewnątrz, zawiesza przed obrazami koronkę, świeże pęki ziół i wianuszki uwite z najświeższych kwiatów. Przystroiwszy tak izbę — dopiero sama na się przywdziewa strój odświętny i „wkłada białe chusty.“ Czystość i odświętność widać w całym jej stroju, wesołość bije luną od jej twarzy, a uśmiech wdzięczy się na koralowych ustach. Rada — by przyjsć do owej chatki i wniej ugościć choćby świat cały — serdecznie i prosto: „u niej ze dzbaną wodą źródlaną, i chleb ubogim i cień przed progiem jak ludzie prości — wiele ugości...“

Lecz oto minęły już świątki — i zwolna zbliża się czas sianokosów; pracuje przy nich dziewczyna nasza również ochoczo i żwawo; słyszycie piosenkę, rozlegającą się po łące?.. to pewnie ona śpiewa... a oto widzimy ją idącą wesoło obok wozu, którego koła skrzypią głośno pod ciężarem furi siana.

A czy zamarzy też kiedy serduszko dziewczycie o jakim dziarskim młodzieńcu?... A jakże!... Marzy o nim nieraz, ale jej wybrany musi być chwackim i ochoczym chłopcem, któryby umiał raźnie dosiąść konika i gracko machnąć szabel-



ką — i „nic się nie strachać, w boju bojować, w chacie całować...”

Często podnosi Lenartowicz w usposobieniu dziewczyny ten jakiś nieuchwytny odcień smutku, bezprzyczynowego na pozór, lecz stałego, jaki się ni ztąd ni z owąd budzi w duszy wesołej zresztą dziewczyny... ów „ton słowiański,” o którym mówi Słowacki. że się rozwinął z pieśni smutnej wśród puszczy i lasów... (patrz Króla-Ducha). Widzimy oto, jak w duszy innej dziewczyny, również pracowitej i wesołej, jak pierwszej, budzi się naraz jakiś nieokreślony smutek, o czem ona sama tak mówi:

„Bo chociaż ja tak wesoła,  
„Taka śmieszka psotna, —  
„Lecz i najsmutniejsza z siola,  
„I często samotna...”

„Lada co to mnie ucieszy, lada co zasmuci” — skarży się dalej dziewczyna, i smutkom swoim, zarówno jak i radości, daje ujście — w pieśni. Piosenka sama się rodzi w sercu dziewczyny, sama z niego wypływa; na nutę piosenki każde nasze dziewczę niezmiernie jest czułe i pozna wnet, do czego która z nich najlepsza: „zabłąkane nuty chwytają: ta do tańca wysmienita, a ta znowu do roboty, a ta trzeia — na kłopoty...” a tych ostatnich piosenek jest pono najwięcej — i są one najpiękniejsze ze wszystkich — bo smętne...

Pieśń „z ust dziewczyny w głuchem polu wyśpiewana“ płynie z serca do serca, z ust do ust idzie, z wiatrem leci po kraju, „dziewczę poda ją dziewczęciu, pacholątka pacholęciu” że aż dziwno, kto ją tak szybko roznosi? Pięknie maluje poeta ten tę wędrownosć wiejskiej pieśni dziewczęcej.

Tak to lecą i płyną piosenki po kraju, a wszystkie one wypływają z serc dziewcząt: „pieśni wiejskie — dziewczęta sprawa, to ich szczęście i zabawa.” Różne dziwy plotą, kręcąc swoje kołowrotki; a na duszę *pieśń dziewczęca*, jak *nie złota się okręca*. Z krwi kochanków, z łez kochanek wiją sobie srebrny wianek... Nieraz tak przez noc całą — aż do jasnej zorzy — śpiewają przy robocie dziewczęta — „wciąż się pieśń przewija słodka, jak to kółko kołowrotka...” wnika do serc dziewczęcych i łez zdroje sączy...

„Tak w dziewicze długie noce  
„*Pieśń* z gwiazdami się migoce,  
„I porówno im rozdziela  
„*To żal'ny, to wesela...*”

Jest pośród poezji Lenartowicza prześliczny wiersz p. t. „Wiochna,” w którym poeta z wdziękiem niezrównanym kreśli postać i życie dziewczyny wiejskiej. Jest również poemacik dłuższy, zatytułowany „Jagoda,” jeszcze piękniejszy od „Wiochny;“ można go uważać jako przedłużenie owego właśnie wiersza, wystawia nam bowiem dawną dziewczynę już jako zamezną i matkę. Całość obu utworów daje nam precudowny i pełny wszechstronnie obraz naszej niewiasty wiejskiej, — warto więc bliżej się przyjrzeć tym obrazom wdzięcznym, którym równych w tym rodzaju co do przejrzystości kolorytu, prawdziwości i wdzięku poezja nasza nie posiada.

Pierwszy z „Wiochny” wyjęty obrazek wystawia jasny letni poranek, o wschodzie pogodnego słońca: „już słoneczko powstało i przegląda się w rzece;“ z brzozy płaczącej, która rośnie pochyla nad rzeką, zwieszają się i płyną krople rosy świecącej; jasne obłoczki toną w przejrzystym rannym błękicie; po ziemi bieżną przezroczyste potoki, w których się przeziiera słodki niebieski błękit. Mamy więc prześliczny obraz poranku letniego na wsi, obraz dziwnej lekkości i wdzięku. na którym poeta delikatnym i subtelnym pędzlem rozkłada kolory i tony.

Widzi ów piękny poranek dziewczyna, która wstała wraz ze słońkiem i napała się jego świeżością i czarem; spozstrzega oto jaskółczkę czarną, która uwija się wokół przed bramą... dziewczę nie jest wprawdzie jaskółką, a jednak i ona tak samo potrafi się uwijać; chciałaby więc pogonić za ptaszyną po łące i śpiewa sobie: „Oj na rosę, na białą polecę ci ja, polecę!” Ale w tej

chwili uczynić tego nie może, boi się bowiem matki — i musi wpierr rozniecić ogień na kominie, wydoić krówkę, wzbieuprzatnąć... a wówczas już jej nie powstrzymał... Krząta się więc ochoczo około swego gospodarstwa domowego, a tymczasem świeżosć porankowa wlewa się strumieniem do jej piersi, budzi w niej rzeźwość i zachwyt szczerzy: „Jak to dobrze Bóg zrobił, myśli sobie dziewczę, że ten śliczny świat stworzył, tak cudnie go ozdobił, tyle kwiecica rozmnożył!... i jak też to dobrze, że Bóg dał jej tego oto małego braciszka, który teraz śpi w tej kołysce, a z którym ona codziennie się pieści... Tu bierze ją chętka zajrzeć do kołyski — czy śpi jeszcze?... Skrada się więc cicho do niej, jak myszka, aby niezbudzić dziecięcia... śpi jeszcze!... Trzeba nakrzesać ognia i zapalić w kominie, a potem pójdzie uczesać sobie włosy... a jakaż to nudna robotka przy tych długich aż do ziemi warkoczach!... To takie znużone zajęcie rozplatać je, gdy się poplączą... Tu przypomina sobie dziewczę słowa chłopców, którzy tak chwalały jej długie warkoczki, a o jej oczach mówią, że są „uroczne...” A jak też to się ona nawstydzi przy tych mowach!... A może oni prawdę mówią? zapytuje siebie dziewczyna i odpowiada w smutku: „Ale cóż ja z tem pocznę?!” Potem przypominają jej słowa matki, że ona wcale nie rośnie... obiecuje więc sobie dziewczę, że niech no tylko wybiegnie na pierwszy deszczyk na wiosnę, a dobrze na nim przemoknie, to wnet urosnie — ot taka duża!... Tu uwagę jej zwraca ku sobie pajak, który w kącie izby przedzie swoje cienkie szare włókienko... I ona przecie umie prząś — i prawie równie cienko potrafi... umie prząś kądziel, umie też pleć w ogródku, i na książce rozumie przecie i nieraz w kościele zaśpiewa... A ten baranek, co to go ulepiła na świeconę, a cała wieś się zbiegła patrzeć na jego kręconą wełnę i na zgięte kolanka, na których klęczał jak żywy... albo te gaiki i równianki z kwiatów polnych czy nie ładnie były uwite?

Wśród tych myśli i rojów przypomina sobie naraz dziewczę, że czeka na nią robotka — przerywa myśli próżniaczce i biegnie na podwórko do studni pociągnąć żórawia; z ust jej ulata piosenka, lecz dziewczę urywa ją zaraz po pierwszej zwrotce, bo „matka będzie się gniewać...” Oto poszło już w górę wiaderko, a z boku woda się leje... dziewczę zagląda w głąb studni — i widzi na dnie drugie dziewczę — do niej podobne, które uśmiecha się do niej; głąb kryniczna przeraża dziewczynę, „aż ją zimno przechodzi...” tak blisko stoi nad studnią... lecz ona wie, że ją nie złego nie spotka — ona się niczego nie boi... tu jednak przypomina sobie, że jest wiele rzeczy, których się boi: straszą ją baki, co latają w ogrodzie, straszą żółte osy — i jałówka, co bodzie... boi się także tej jasnej tęczy, bo mogłaby ją unieść z ziemi „do białego miesiąca...” boi się wreszcie grzmotów i piorunów bijących, — ale za to niczego nie boi się w kościele; przeciwnie — tam przejmuje ją jakaś radość, napełnia jakieś wesele, a w sercu jej wówczas tak raźnie i wesoło, jak tu — u matki, i raduje się dziewczę do Boga. Gdy była u spowiedzi, ksiądz mówił jej, że zada pokutę, gdyby zgrzeszyła; więc ona oto umyślnie dziś z rana zgrzeszyła: nasaczyła na stół miodu ze dzbanka, aby chociaż raz ksiądz pokutę jej zadał... Tak dotąd szczęśliwie zbiegały jej dni, nie zaznała dotąd niedoli... prawda! płakała już trzy razy i to bardzo gorzko płakała: raz — gdy skonała babka w tej ciemnej komorze, drugi raz, gdy w nocy kościółek się palił, a raz trzeci, kiedy w próg chatki przyszedł pochylony dziadek, taki biedny!... ale taki dobry i miły!... Wtedy bardzo płakała, bo ją tak boli coś w serduszkach, gdy ujrzy ludzką niedolę... Całowała go więc w rękę i mówiła: „nie smućcie się, dziadulul...”

Tu spojrzano dziewczę po polu: z za mgły słońce już wstało, wrona czarna kracze na roli... i naraz Bóg wie zkąd jakiś dziwny smutek napłynął jej do serca:

„Nie wiem, co mi się stało,  
„Coś mię smuci, coś boli...”

W całym przytoczonym powyżej obrazku nie możemy nie podziwiać uczucia nieuchwytnego wdzięku, czarującej świeżości, które wzbudza w naszej duszy poeta, osiągnąc go środkami różnie prostymi, jak prostem jest życie tej wiejskiej dziewczyny. Trzeba być wielkim mistrzem i prawdziwym znawcą dziewiczego serca, aby potrafił zrobić to w taki sposób, a przedewszystkiem — trzeba ukochać te proste serca wieśniacze uczuciem głębokim i szczerem, jak je ukochał nasz poeta.

Stanisław Ostrowski.

(Dokończenie nastąpi).

## POGAWĘDKA.

Po chłodach, mrozach i śniegu dość obftym, od dni już kilkunastu mamy wcale znosną pogodę, a czasami nawet niebo tak się rozjaśni i słońce ciepłe promienie rzuci, że przypominają się nam chwile owej złotej, polskiej jesieni, która, aczkolwiek późno, uśmiech swój ku nam posłała, słoneczny uśmiech, jakby chciała powiedzieć: „Wierzcie mi, nie zawiodę was nigdy, czasem opóźnię się z przyjściem, pogrozę czasem i zasmucę, ale ostatecznie dobrocią swoją was rozbroję i nie zabiję wiary położonej we mnie!”

To też od dni kilkunastu mamy dni jasne, ciepłe i pogodne, przeplatane dżdżem niewielkim; nocami mgła gęsta w welon biały utula miasto, ale szybko ku górze się unosi i ukazuje się błękit niebieski, z którego wypryskują gwiazdy, a księżyc, jakby umyty w tej mglistej kąpiel, złotosrebrną twarz zwraca ku ziemi i blaskiem melancholijnym oświeca mury Warszawy.

To opóźnienie się „złotej jesieni“ jest przyczyną, że miesiąc Listopad, zwany zwykle „czarnym miesiącem“ ma piękne nieraz noce księżycowe, że wieczorami tłumy przechodniów przepełniają chodniki, a ruch uliczny jest tak wielki, iż przybysz obcy, przyzwyczajony do gwaru i ruchu stolic europejskich, staje zdumiony i — jeżeli przyjechał do Warszawy, jako do *miejsciny* w porównaniu z Paryżem takim lub Wiedniem — zmienia przekonanie swoje i z zajęciem już większem rozgląda się po grodzie mazowieckim.

I rzeczywiście, sądząc po tym ruchu, po tym tłoku ulicznym, Warszawa jest wielkim miastem — na pozór. Powiadamy na pozór, bo przyjrząwszy się bliżej, wiele a wiele jej brakuje do tej istotnej wielkości. Pomijamy brak muzeów, piękności wystaw, to wszystko, co stanowi wewnętrzne bogactwo każdego wielkiego miasta, ale zewnętrzna fizjonomia Warszawy, przy rozpatrzeniu się sumienniejszem, ma dużo w sobie cech małomiasteczkowych, które nazwalibymy *nieladami*, niezbyt dobrze o jej gospodarstwie świadczącym.

Niegdyś przyrównywalismy Warszawę do strojnisi, strojącej się wiecznie i nie mogącej się ustroić. Jakkolwiek porównanie mogło być dobre, strojnisia temu nie zupełnie jest winna. Były takie czasy i takie wypadki, które źle oddziaływały na normalny rozwój miasta, szybki zaś wzrost Warszawy datuje się od lat trzydziestu zaledwie, gdy wzmógł się ruch handlowy między wschodem a zachodem, gdy Warszawa, leżąc na środowisku tej wielkiej drogi, z natury swojego położenia musiała czynny wziąć w nim udział, gdy zresztą zmieniły się do niepoznania prawie stosunki rolne i wielu ziemian, pozbawionych ojcowizny, osiadło na bruku miejskim, biorąc się do handlu i przemysłu. Oddziałal także niemało na wzrost miasta wielki napływ żydów, przybyłych z gubernij wielkorosyjskich. W znacznej części byli to kapitaliści, którzy fundusze swoje, zmuszeni siłą okoliczności, musieli w domy włożyć. Puste place zostały wykupione,



ogrody (jak ogród Kronenberga przy ulicy Marszałkowskiej) rozparcelowane, a na wytrzebionym miejscu pobudowano trzy i czteropiętrowe gmachy, imponujące zewnętrznie architekturą, choć dość często się walaące. Wszystkie kamienice, jak np. przy ulicy Sadowej, powstałe na miejscu gdzie był ogród Kronenberga, są budowane, z nieznaczącymi wyjątkami przez spekulantów; ich to kapitałami wznosi się nowa Warszawa, wznosi się gorączkowo, szybko, jak tego wymaga — interes. Nic więc dziwnego, że na najpierwszych ulicach nieskończone, zdaje się nigdy, trwają roboty mularskie, że to srodzenie się Warszawy trwa z roku na rok, bez możliwości przewidzenia końca. Ale nie ma jednej ulicy, jednego placu, jednego zakątka, w którym by czegoś nie brakło, z którego by nie wyzierała owa — małomiasteczkowość.

Przed tygodniem gościłem u siebie pewnego gościa, stałego mieszkańca Londynu. Przygodny podróżnik znał wszystkie europejskie i za-europejskie stolice, zawitał wreszcie do Warszawy, jadąc dalej na północ. W dniu pierwszym swojego przybycia do naszego miasta, trafił nas zbliżył do siebie, a że i mój przybysz zabawiał się piórem, tem łatwiej porozumieliśmy się.

Po wzajemnej wymianie grzeczności i dość sumtem śniadaniu, gość mój, którego nazwiemy *sir John'em*, odezwał się do mnie w te słowa:

— Obiecałeś pan pokazać mi miasto. Muzea, biblioteki, teatry odłożymy na później. Dziś chcę poznać zewnętrzną szatę Warszawy. Pokaż mi pan jej piękności.

— Hm!... piękności!..

A no — zachwycam się Łazienkami królewskimi, lubię Park Ujazdowski, godzinami całemi przechadzałem się po Krakowskim Przedmieściu, strzelistość Marszałkowskiej ulicy wzrok mój bawi, — dla czegożby i *sir John* nie miałby się zachwycić tem, czem ja się zachwycam?

Nie zawiodłem się: Zwiedzając Łazienki, powiedział: „Aha!“ — idąc Krakowskim: „uhu!“ mruknął, na Marszałkowskiej wydobyl fotograficzny aparat i strzelistość jej na szkło przeniósł. „Aha — uhu — i fotografia oczywiście były oznaką zadolenia Anglika, co oczywiście mi się podobało. Przeszedłszy Żórawią, Kruczą, Nowogrodzką i t. d., mruknął: „Siatka!“ a następnie odezwał się:

— Pokaż mi pan teraz rynki, place.

Rynki, place? pomyślałem — i zamyśliłem się tak, jak gdybym z ogromnej ilości tych rynków i placów wybierał godniejsze widzenia. Tymczasem rzecz miała się całkiem przeciwnie. Zadałem sobie pytanie: czy Warszawa ma rynki i place?

Plac „Trzech krzyżów“ za mało memu Anglikowi piękny się wydał, „Teatralny“ nazwał niewykończoną rudera; „Bankowy“ nie wydał mu się zupełnie placem, na „Rynku Starego miasta“ przetałał binokle i szepnął: „Byłby piękny!“ gdy się zaś zbliżył do posągu, stojącego na środku i rzekł:

— Myślałem, że to wasz Jan Kochanowski stoi.

Myśl o posągu dla śpiewaka czarnolaskiego utkwiała mi w umyśle, i jeżeli kiedy stanie pomnik dla autora „Trenów“ w Warszawie, to w mieście całym nie masz stosowniejszego dla niego miejsca jak rynek Starego miasta. Nowa Warszawa nie odpowiadałaby celowi, tylko na tle murów tego rynku starego, w otoczeniu kamienic o stylu sobie właściwym, posąg Kochanowskiego odbijałby właściwie. Słowem, rynek Starego miasta podobał się memu Anglikowi, a choć raz w raz przytykał do nosa flakon z jakimś orzeźwiającymi kroplami, przyznał, że „starczy umieli miasta budować.“

Nie wiem dla czego, ale gość albioński domagał się najbardziej placów, właśnie tej miast ozdoby, na której brak cierpi Warszawa.

— Zwykle zwiedzanie stolic europejskich i miast rozpoczynam od placów — mówił mi.

— A kończysz pan?

— Na rzek wybrzeżu.

Struchlałem.

Co? ja mam memu gościowi pokazać brzegi Wisły? Zaprowadzić na Rybaki, przejść się po ulicy Dobrej, zmusić go do przechadzki od mostu do Solca i z dumą powiedzieć:

— Oto są nasze bulwary, oto są brzegi Wisły, o które tak dopytujesz się. A nuż by *sir Johnowi* przyszła fantazja użyć wzdłuż tych brzegów spaceru w noc księżycową, w porze, w której tak łatwo spotkać się z rzeźmieszkim, albo dostać pchnięcie nożem pod żebro piąte? Nie, odważny synu we wspaniale granity obramowanej Tamizy, bez ryszunku ścią bojowego, w noc najbardziej rozkiszyczoną, nie pójdę z tobą nad owe brzegi królowej rzek naszych, a jeśli jesteś desperatem, wtedy ci „good night“ powiem, dając krzyżyk na drogę, a nazajutrz pieniężną ofiarę za spokój twej duszy. Zagadłem więc mego gościa, a wiedząc już o słabości jego do placów, na plac poprowadziłem Krasińskich, który przerobiony z gruntu, zdawał mi się jednym z piękniejszych w Warszawie.

Wiedząc, co już sędzić o pięknościach Warszawy, *sir John* był mniej wymagającym, to i owo półgębkiem chwalił, choć zwrócił mimochodem uwagę, że „za stare“ już są bruki drewniane i potrzebują gruntownej reperacji.

— Wiek ma swoje prawa — odezwał się półgłosem i zdawało mi się, że w tej chwili dolinki wszystkie w owym „staroświeckim“ bruku drewnianym zaczęły ironicznie się uśmiechać i wyskokami swoich cegiełek mrugać na mnie figlarnie, jakby cieszyły się, że omiął *sir Johna*, który na ich młodości nie poznał się.

Pałac Krasińskich podobał się, naprzeciw stojący gmach nowy przy ulicy Nowiniarskiej wykrzywił usta smakosza, jakby po słodkim sorbecie napić mu się kwasu dano — ale ostatecznie placowi nic nie miał do zarzucenia, dwie zaś stare studnie z ptaszkami zwróciły jego uwagę nawet.

Ale tu właśnie, ten małomiasteczkowy porządek Warszawy ukazał się w blasku pełnym.

Dla ulżenia prawdopodobnie dorożkarzom, a może dla tego, by stawianiem wiader na stopniach studzien nie psuli zabytku, od kranów przeprowadzono najordynarniejsze rury i podparto je nieociosanymi kłocami z drzewa. *Sir John* na te podpórki właśnie zwrócił uzbrojone w binokle oczy, i jakkolwiek chciałem w inną stronę uwagę jego zwrócić, pokazując nieistniejące rzeczy, uparty Londynianin nie dał się wywieść w pole, drugą parę binokli nałożył i przypatrywał się uparcie owej rurze rdzą pokrytej i podpórkom z drzewa nieociosanego. Rumieniłem się, jak panna na wydaniu, potraktowałem go papierosem, ale *sir John* zwrócił się do mnie tylko i zapytał z powagą:

— Co znaczy owa stonoga?

Rzeczywiście, sam nie wiedziałem, co miała owa stonoga oznaczać, szpecąca plac bardzo ładny. Podobne rury niekształtne i podpórki pod nie w jakimś prowincjonalnym miasteczku nie raziłyby może nikogo, ale na placu Krasińskich, placu bardzo pięknym umieszczone, nie są niczem innym, jak tylko dowodem niedbalstwa, owem czemś, co partykularzem trąci i źle mówi o estetycznych pojęciach...

Oprowadzałem mego Anglika po placach wszystkich, a on wciąż placów chciał jeszcze. Przecie mu ich z rękawa nie wytrząsnę. Ale gadał z dziwakiem, który nie rozumie miasta bez placów dużych, na którychby się nie dźwigały posągi i pomniki, a wodotryski pod niebiosa nie strzelały.

Nie kurzawę pólkając, lecz błoto,

Obezliśmy tak Warszawę piechotą.

— A teraz do rzeki, — rzekł *sir John*.

*Volens nolens* musiałem zadość i temu żądaniu uczynić.

Nie będę tu powiadał wiele razy potknęło się nieszczęśliwe Angliczysko i ilekroć nachylało się dla podjęcia binokli z nosa mu spadłych. Zauważyłem tylko, że spory flakon kropeł orzeźwiających opróżniał się straszliwie, a trwoga pewna

malowała mu się na obliczu. Brnęliśmy po wywożonych gruzach i śmieciach, przeskakiwaliśmy przez strumienie o barwie podejrzanej, aż wreszcie *sir John* zatrzymał się i zawołał:

— Goddam! ależ tu u was być musi bogactwo bakcyllusów rozmaitych!..

Zdała tylko rzucił wzrokiem na szarą Wisłękę i jej brzegi przesliczne i zawrócił się szybko do hotelu.

I co powiecie, szanowni czytelnicy, o dalszem jego dziwactwie?

Posłuchajcie!

Oto ubranie, w którym wybrał się na zwiedzenie brzegów wiślanych, na całopalenie oddał, sam zaś poddał się jak najsumienniejszej dezynfekcyi, na czem zyskała apteka najbliższa.

Nazajutrz odprowadzałem gościa mego na dworzec kolei. Żegnałem go zawstydzony czegoś, choć przecie przyznał, że jesteśmy bogaci... w bakcyllusy. Na odjeździe zapytałem, o tak, ażeby zapytać o coś — czego nam brak?

A on mi na to:

— Kąpieli i — higieny!..

Pociąg ruszył, ja udałem się do — kąpieli.

Półtuzina mydła zużyłem, taka mię złość porwała, — ale co poradzić z bakcyllusami nadwiślańskimi, które tak przeraziły *sir Johna*? A owe „sierotki“, jak je Prus w kronice swojej nazywa, hoduują się, rozpleniają i kiedyś — przy pierwszej lepszej epidemijce — o prawa się swoje upomną.

Parę lat ostatnich były latami jubileuszów i — konkursów. Lwów dwukrotnie, a Warszawa czterokrotnie ogłaszała konkursy: dwa na sztuki dramatyczne i dwa na powieści. Jakie rezultaty wyjdą z obu pierwszych konkursów, nie jeszcze nie wiemy, choć konkurs „Kuryera Warszawskiego“ już się rozstrzygnął i ze sztuk kilkunastu pięć tylko zostało zakwalifikowanych do grania, z których dwie odrzuciła dyrekcya teatrów, jedna przepadła w inny sposób, dwie zaś: „Familia“ i „I co teraz będzie“ niebawem zobaczą światło kinkietów. Po odegraniu tych sztuk, obie dopiero koperty otwarte zostaną i imię laureatów ogłoszone.

Drugim jest konkurs Paderewskiego, także na dramat, do którego oczywiście wchodzi i komedya. Należąc do sędziów konkursowych, to tylko powiedzieć możemy, że sztuki zostały już odczytane i że w bieżącym miesiącu wybrany szczęśliwiec sięgnie po laury i pieniądze. Ale dwa konkursy na powieść wydały już rezultat. O jednym wiemy już oddawna, gdzie palmę pierwszeństwa otrzymała p. Emma Jeleńska, za powieść „Panienka“, drukowaną w Kuryerze Codziennym, drugi — konkurs „Głosu“ także uwieńczył czoło niewieście.

Górą więc pleć słaba!

Lecz któż jest nową laureatką?

Komitet sędziów, powołanych do rozstrzygnięcia konkursu powieściowego „Głosu“, zakończył swą pracę w d. 31 Października r. b.

Do współzawodnictwa stanęło 40 utworów, z których sędziowie zakwalifikowali do ogólnego czytania następujące (w porządku alfabetycznym): „Bronka“, „Dobrane pary“, „Książ Prot“, „Radysówna“, „Siewcy“, „Szych.“ Za najlepszą z tych powieści uznano utwór pod tytułem „Dobrane pary“, z godłem: „duszę miała, duszę ma, a na ziemi ciało jej tylko przyznali.“ Tej więc powieści Komitet przyznał nagrodę konkursową w kwocie rb. 500. Oprócz tego komitet uznał za stosowne wyróżnić z pośród wyżej przytoczonych trzy utwory, zasługujące na wzmiankę zaszczytną, mianowicie „Książ Prot“, „Siewcy“ i „Szych.“

Po otwarciu kopert okazało się, że powieść p. t. „Dobrane pary“ wyszła z pod pióra panny Ludwiki Godlewskiej, znanej pod pseudonimem „Exterusa“ autorami zaś trzech powieści, obdarzonych wzmianką zaszczytną, są: „Książ Prot“ — Jan Dymitr Augustynowicz, „Siewców“ Henryk Stanisław Pytliński, „Sychu“ Kazimierz Daniłowicz Strzelbicki

Wyznajemy otwarcie, że jesteśmy ciekawsi rezultatów konkursów dramatycznych. Powieściopisarstwo jest u nas reprezentowane wspaniale, boć przecie Prus, Sienkiewicz, Orzeszko-



wa, Rodziewiczówna, a z młodszych: Sirko i Żeromski, — to ładny zastęp, natomiast na polu dramatycznym panuje ubóstwo wielkie i teatr nasz zasila się stale sztukami obcemi.

Czy rzeczywiście brak nam dramatycznych talentów?

Nie sądzimy.

Jeżeli brak—to chyba pola do popisu. Zamało mamy teatrów, za srogimi też jesteśmy sędziami dla sztuk swojskich! Chcemy od razu arcydzieł, choć okrzyczany Cirano de Bergerac arcydziełem nie jest i poważna krytyka francuzka wypowiedziała się już w tej sprawie. Lecz w Paryżu huczek się zrobił, a czy to nie dość dla nas, byśmy za panią matką pacierz powtórzyli? Publiczność zresztą nasza łaskawszą jest na sztuki swojskie, widziane w teatrze, niż krytycy przysięgli; w wyborze zaś sztuk do grania za wybredna jest, tak nam się zdaje, reżyserya teatrów, będąc stokroć łagodniejszą dla sztuk tłumaczonych. Jak wielbładowi przez ucho igielne, tak młodemu dramato czy komedyopisarzowi trudno jest przeleźć przez zapory, stawiane przez teatr i dostać się na scenę. Ztąd nowości *naszych* nie mamy prawie, a parę drobniaków, które w czasach ostatnich pojawiły się na scenie, nie przekraczają granic mierności. Do tych należą: „Niebo albo piekło“ Madejskiego i „Tola“ Strzemieńczyka.

„Tola“ przerobiona przez autora czy autorkę z noweli drukowanej niedawno w „Bluszczu“ p. t. „Gawot Maryi Antoniny“, byłaby może wcale dobrym scenicznym obrazkiem, gdyby autor zechciał być sumiennie pracą swoją rozpatrzyć, licząc się więcej z psychologią i warunkami scenicznymi, jak też usunąć pewne niekonsekwencje, które same przez się uważnemu następcą się słuchaczowi.

„Tola“ gra gwota. Pod wrażeniem tej muzyki kuzynek Toli, zakochany w niej, biegnie myślą w czasy Ludwików, kiedy to upudrowani markizowie i markizy salonowy ów taniec tańczyli. Kuzynek tak się zapala w wypowiedaniu swych myśli, że przebiega czasy restauracji i w połowie cesarstwa zatrzymuje się dopiero.

I coż się robi z tych myśli, wypowiedzianych głośno?

Oto monolog przy akompaniamencie fortepianu, wruszający Tolę, nużący widza.

Tola jest mężatką, walczy z obowiązkami żony, oczekuje na przybycie swojego Stasia, który czas spędza z kochankami przy winie. Słowa jednak kuzynka trafiają do jej serca, do tego się przyczynia i nuta wspomnień, bo kuzynek kochał ją dawniej. Ale dla czego się nie ożenił—nie wiemy. Może Tola była ubogą dziewczyną i rodzina zmusiła ją wyjść za bogacza? Nie!—albowiem dowiadujemy się, że mąż ją okradał, klejnoty i pieniądze kochankom swoim rozdając.

Następuje duet miłosny, którego słowa zostały wyjęte z przepysznych oktaf Beniońskiego. Lecz oto, gdy tak tuli się w ramiona kuzynka, który podaje jej myśl rozwodu—jakaś trwoga, jakieś widzenie ją przeraża. Ujrzała czyjś cień. — Nam się wydało, że mąż podsłuchiwał gruchania,—ale nie; mąż powraca tylko prowadzony przez służbę hotelową jako ociemniały.

Tu jeden z doktorów a mój sąsiad zrobił komus uwagę, że nagle ociemniałego, nie służba hotelowa do domu by przywiodła, ale zajęłoby się nim pogotowie ratunkowe i do szpitala odstawilo.—Lecz mniejsza z tem.

Wraca mąż, pijak, rozpustnik—ale okaleczony strasznie. Wymaga teraz od żony poświęcenia, ona jednak milczy; wyręcza ją kuzynek, wskazując jej drogę obowiązku, to jest: stać się męczennicą, siostrą miłosierdzia, sługą—męża wprawdzie, ale niegodnego takiej ofiary. I oto Tola krzyż ten bierze na barki swoje i poświęca się dla człowieka który jej nie kochał i kochany nie był, który deptał jej godność jako kobiety i żony.—Złamane więc zostało jej szczęście ale, nie pojmując dla czego, boć w ten sposób *każda* kobieta szarytką być powinna, dla ślepych, chromych zaprzec się szczęścia własnego, choć do tej nędzy fizycznej doprowadziła nędza moralna człowieka.

Powiecie mi; obowiązek?

Zapytam: względem kogo?

Powiecie mi: a mąż?

Odpowiem: że mężem przestał być z chwilą, gdy oddając się rozpuście, żonę od siebie odtrącił; podwójnie zaś przestał być mężem, gdy ona wyznała miłość kuzynowi.

Morał nie udał się autorce, zepsuł sztukę, która, jakkolwiek nie grzeszy nowością pomysłu, mogłaby, jak powiedzieliśmy, być wdzięcznym obrazkiem, gdyby autor zechciał lepiej po pracować nad nim.

W Teatrze wielkim króluje taraz Moniuszko. Ależ bo to mistrz, który, jak się wyraził jeden ze znawców muzycznych, „mimo, że jest ceniony, za mało jeszcze ceniony.“—Od lat piętnastu nie grano „Hrabiny“ teraz tłumy w szal prawie w padają.—Poraz pierwszy wystawiono ją w r. 1860. „Hrabina“ była wówczas panna Rivoli, dziś Kruszelnicka, podówczas Żółkowski—dziś Frenkel—dwie najważniejsze postacie w operze.

Kto raz widział Żółkowskiego w roli podcańczyca, kto wraz z nim zieleniaczkiem się delectował—ten niezapomni póki życia tej gry wspólniczej, mistrzowskiej, skończonej. Panu Franklowi przepadło w udziale zastąpienie takiego mistrza.—Artysta nasz musiał pokonać trzy trudności: śpiew, do którego nie przywykł, orkiestrę, która mu nigdy nie wtórowała, i walkę z Żółkowskiego cieniem. Potrójną więc miał tremę, ale zato potrójne zwycięstwo odniósł: głos, użyty w sposób właściwy nie zawiodł go; orkiestra nie zbałamuciła, a ci, którym Żółkowski stał jeszcze świeżo w pamięci, podnieśli dłonie do jaknajszczęśliwszego okłasku.

I czego tu chcieć więcej?

Mieliśmy już nieraz sposobność w sprawozdaniach teatralnych mówić o panu Frenkle. Nie dość, że jest to artysta obdarzony dużym talentem, ale jeszcze ma rozum, który mu pozwala zrozumieć intencję autora i w najmniejszym szczególe, odegrywanej przez siebie roli, nie sprzeniewierzyć się myśli pisarza.

Pod temi warunkami tylko, aktor przestaje być aktorem a staje się artystą, do której to nazwy mają dziś pretensję wszyscy, bez wyjątku—aktorzy.

Na czem pogawędkę kończyć mamy? Ha! wszystko dzwoniem się kończy. On godzi zważnionych, on pysznych z nędzarzami równa, koi bóle, ale i szczęście niejedenkrotnie niweczy.

Zniwo śmierci jest zawsze obfite, padają wielcy i mali, zasłużeni i nic nie warci.

Tydzien ostatni przyniósł nam dwie straty: w Monachium dokonał zasłużonego żywota dr. Kondratowicz, zwłoki jego sprowadzono do kraju i pochowano na cmentarzu Powązkowskim. Pogrzebowi towarzyszył orszak liczny, bo licznych miał nieboszczyk przyjaciół; ogromny tłum odprowadził zwłoki jego na miejsce wiecznego spoczynku, na ów cmentarz dziwnie piękny, smutny i drogi sercu naszemu.

Drugą stratą jest śmierć s. p. Ludmiły z hr. Mikorskich Jeske-Choińskiej, żony Teodora, znanej krytyka, publicysty i literata.

S. p. Ludmiła ur. w r. 1849. z Józefa i Teofili hr. Mikorskich w Małachowie W. X. Poznańskim. Pierwiastkowo kształciła się na śpiewaczkę, pod kierunkiem wiedeńskiej nauczycielki śpiewu, Marcheti, następnie u Lampertiego w Medyolanie, Reviala w Paryżu, i Stockhausena we Frankfurcie. Zarzuciła śpiew jednak, idąc za radami znawców, którzy u niej dostrzegli talent kompozytorski. W paryskim więc konserwatorium uczyła się zasad teorii muzycznej w Warszawie wyższej harmonji pod kierunkiem pr. Zawirskiego i Roguskiego, z nauką zaś instrumentacji obeznał ją Adam Müncheimer.

Czuając się na siłach wzięła się do kompozycji. Wszędzie licznych jej prac muzycznych znalazły się i dwie opery komiczne: dwuaktowa p. t. „Zuch dziewczyna“ i trzy aktowa „Markiz de Crequi.“ Libretto do tej ostatniej dostarczyła jej komedia Kazimierza Zalewskiego p. n. „Spudłowali.“

Obie te prace krytyka przyjęło z uznaniem. Z drobniejszych kompozycji zasługują na wspomnienie piosnki: „Do miłości“ „Zalotna“,

„Słowiczek“, „Pożegnanie żołnierza“, „Tyś moja“ i wiele innych utworów do śpiewu i do tańca. Ostatnią pracą większą była ballada p. t. *Rusalka*, za którą, jako też i za dwie awertury do oper wyżej wspomnianych, otrzymała na wystawie powszechnej w Chicago w r. 1893 dyplom uznania.

S. p. Ludmiła nie pogardzała i piórem literackim. Owocem tej próby była powieść p. t. „Muzykańci.“ Znany ją jednak tylko jako kompozytorkę.

Literacki i muzyczny świat odprowadził zwłoki nieboszczki na cmentarz Powązkowski. Moc wieńców okrywała trumnę. Dzień był prześliczny, w niezamąconem więc niczem powietrzu rozplywały się dźwięki chórów z opery naszej i brzmiały podniosłą pieśnią: „Salve Regina!.. Grudki ziemi upadły—tłum się rozszedł, ja jednak nie prędko opuściłem ten cmentarz.

Czasami dobrze być z umarłymi, przyzwyczaić się do nich i do tego spokoju i ciszy, która nas wszystkich utuli. Błądziłem więc pomiędzy grobami, na których gdzie gdzie jeszcze paliły się lampki albo świece. Było to w dni parę po zaduszkach. Jeżeli w dzień ten, zmarłym poświęcony, grób niejeden próżność w zieleni i kwiaty ubrała i oświeciła lamp setką—to teraz, gdy zaduszki minęły, tych mogił kilka tu i tam oświetlonych—mówiły o rzeczywistej pamięci. Tak, nad temi grobami modlono się—modliły się kobiety, bo one jeszcze modlić się umieją—a w oczach miały łzy.

??

## Za progiem raju.

CYKL PIOSNEK.

IV.

Fata Morgana.

Płomienne słońce wzniosło się od rana  
Wśród lotnych piasków lekkiego tumanu,  
Zmęczoną głowę podniosłam z kurhanu  
I na szlak pusty patrzyłam stroskana.

Pustynia ciągnie się wzdłuż wyłaczana  
Aż ku granicom gdzieś Arabistanu,  
Co to? tam — w dali? czy nie kształt turbanu?  
Tam jakaś postać mknie rozkołysana.

Widzę... na żółtym dromaderze pędzi...  
To on! nie myli mnie dziś czujność oka,  
Na skrzydłach lecę przez gorące piaski...

Zwolnij człowieku! ha, stój! na prorok!  
Dopadam skalnej stromych gór krawędzi...  
Pusto...szakałów tylko słyszę wrzaski...

Fata-Morgana!

V.

A n a n k e.

Jakie to dziwne, dziwne przeznaczenie—  
Z raju cię widzieć mogłam każdej chwili,  
Zaledwie mgły się zasłona odchyli,  
Już twoje czarne spotykam spojrzenie.

Tylko mi tęskno było za twym głosem,  
Nigdy dźwięk jego nie doszedł do raju,  
Teraz, gdy błędę w tym doczesnym kraju—  
Całkiem z przeciwnym spotykam się losem!



Nie widzę ciebie, a jednak chwilami,  
Słyszę głos który tylko twym być może,  
Lecz ciebie nie ma! gdzie jesteś, mój Boże!  
Czyś się gdzie ukrył pomiędzy palmami?

Nieraz, tuż blisko, ciche słowo padnie,  
Na suchych wrzosach już kroki twe słyszę,  
Czy to ty? pytam, słuch zatapiam w ciszę...  
I znów na piaski opadam bezwładnie.

Czuć—a nie widzieć, lub widzieć—a nie czuć,  
Nie wiem co gorsze? bo zawsze tęsknota  
Przez duszę ciągnie się jak struna złota  
Drgająca ciągłą pieśnią trwożnych przeczuć.

O, co za szczęście:—widzieć—słyszeć—razem!  
Ale nie dla mnie ta pełność istnienia!  
Ja, za pokutę mego przewinienia—  
Męcę się szczęścia tylko pół-obrazem.

## VI.

## Sk r z y d ł a.

Jakże się moja odmieniła dusza!  
Poznać chwilami sama się nie mogę,  
Jakże już na mnie znać tę ziemską drogę,  
Każde mnie ziemskie wrażenie tak wzrusza!

Światło już we mnie nie lśni w dawnej sile  
Odkąd za marą dążę znikomości,  
A w piersiach rośnie płomień namiętności,  
I stopy moje brną w doczesnym pyle...

Mysł lotna dąży, i nienasycona  
Coraz ognistsze wytwarza obrazy,  
Czara marzenia rysuje się w skazy  
A jednak pragnień nie ucisza łona.

Uczucie wzięte w ciasną miarę czasu  
Do ziemskiej formy coraz się nagina,  
Po szczeblach zmysłów w świat żądy się wspina  
I wciąż z jasności coś traci zapasu...

Ah... gdzie ja jestem? płomień mam na czole,  
Popioły w sercu, a w piersiach zgryzotę!  
O, dni me rajskie, ciche, wolne, złote,  
Czyż ja mam zginać w tej nędzy padole!

Nie! przez jaskrawe zmysłów malowidła  
Wysoko wstąpię na woli kolumnie—  
Hal jakież serce me w tej chwili dumne!  
Wszak ja mam skrzydła! czyste skrzydła,  
[skrzydła!]  
Szczęsna.

## PAMIĘTNIKI

## Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

## XVIII.

## Kasztelanowa Chlebowska.

Wysłany do mej babki wrócił posłaniec i przy-  
wiózł mi bardzo łaskawą odpowiedź. Zaprasza-  
ła mnie na mieszkanie do Gołuchowa, gdzie już

w bastyonie zamku urządzano dla mnie mieszka-  
nie w tychże samych pokojach, gdzie mnie ma-  
tka na świat wydała. Każdej chwili pozwoliła  
mi babka czynić nadsyłki rzeczy moich, a ludzie  
jej upoważnieni byli do odbierania i napomnieni  
o wierne dozorowanie ich.

Gdy już wszystko wysłanem zostało, zabra-  
łam się bez żalu, bez wzruszenia, oprócz łez uro-  
nionych przy pożegnaniu wiernej i roztropnej  
Wiedziszewskiej, której pozbawioną zostałam  
dla tego, że jej mąż przywiązany był służbą do  
miejsca, gdzie zawiadował. Usłużenie moje ko-  
biece ograniczało się na pannie Białokórskiej,  
teraz u mej Kasi będącej i kawiarence, młodej mej  
poddance. Fryzyer, zastępujący lokaja, stary  
dziś Dąbrowski i stangret, składali mój dwór  
oddzielny, który babka szanowna wspaniale  
utrzymywała.

Nie widząc kasztelanowej od dzieciństwa, uwa-  
żać ją musiałam jako nową znajomość, bo z te-  
samej przyczyny co w sąsiedztwie, także i w fa-  
miliu nie oddawaliśmy żadnych wizyt.

Przyjęła mnie łaskawie, ale z taką powagą,  
jakby mi wskazała powinność rzucenia się do jej  
nóg. Uczyniłam to i dopiero mile do piersi przy-  
tuloną zostałam. Na tem się też ograniczyły  
wszystkie oznaki miłości; ale rzetelna opieka,  
poszanowanie i niewymuszona rodzima przy-  
chylność zastąpiły je.

Postawa babki mojej miała coś nakazującego;  
chód poważny, ale dość żywy, głos niski, powol-  
ny, twarz czerstwa i zachowująca jeszcze ślady  
dawnej piękności; spojrzenie nieco surowe przy-  
pominało, że od lat 30 przeszło rządziła samo-  
dzielnie majątkiem rozległym, bo gospodarstwem  
z 30 wsi i folwarków składającym się. Wchodzi-  
ła we wszelkie szczegóły rozporządzenia. Pro-  
wadziła życie nader czynne; wymierzając spra-  
wiedliwość, dopełniając uczynków pobożnych  
i miłosiernych; nie zapominała przecież o obo-  
wiązkach rodzinnych i obywatelskich. Całe jej  
życie służyć mogło za wzór porządku i systema-  
tyczności.

Każde święto i niedzielę, oddając Bogu co Bo-  
skiego, ubrana przystojnie, udawała się pieszo  
lub pojazdem w niepogodę, do kościoła we wsi  
będącego. Wysłuchawszy nabożeństwa, zaprasza-  
ła do stołu swego miejscowego plebana i kil-  
ku, czasem kilkunastu ekonomów, którzy z roz-  
maitych zjeżdżając się folwarków, przed nabo-  
żeństwem zdawali sprawę z czynności swoich,  
składali rachunki, odwozili pieniądze za sprze-  
dane produkty i po uczynionej naradzie odbierali  
stanowcze rozkazy.

Po obiedzie zwykle przyjmowała sąsiadów.  
Ci, znając jej układ zadawniony, że przy mno-  
gim zatrudnieniu niewiele z domu się wydała,  
a rada rozerwie się w ich towarzystwie, konten-  
towali się jedną jej doroczną wizytą, którą  
wiernie każdemu oddała sąsiadowi, a za to, nie  
zważając kolei, ani wymiaru czasu, zjeżdżali się  
cały rok, doznając na jej zamku zawsze równie  
milego, uprzejmego przyjęcia, szczodrego ucze-  
stowania i ohotnej zabawy. Każdego dnia mo-  
żna było widzieć u niej dalszych i bliższych kre-  
wnych, znajomych lub przyjaciół. Często zawi-  
tali kwestarze albo zakonnice, czasem ukazał się  
cudzoziemiec podróżujący, zwabiony pięknnością  
miejsca, lub awanturnik znęcony sławą gościn-  
ności, ponętą dobrej zabawy albo spodziewanego  
wsparcia, którego każdy był pewnym, skoro go  
zażądał.

Ale jej to wszystko nie przeszkadzało do usta-  
nowionego raz porządku w codziennem postę-  
powaniu. Każdego dnia, po wysłuchaniu rannej  
mszy w blizkiej kaplicy i po skromnym śniada-  
niu, zachodziła przed zamek kolaska parokonna.  
Schodziła, natenczas babka, stosownie do pory  
roku, lekko albo też ciepło, ale zawsze jednosta-  
nie ubrana, aby zwiedzać kolejno liczne folwarki  
i bory i lasy.

Ciemna, krótka suknia wełniana, także okry-  
cie, ciżmy wysoko sznurowane, rękawiczki czar-  
ne i kapelusz w lecie, a kaptur w zimie strój jej  
stanowiły. W kieszeni pulares z ołówkiem, pa-  
pierem i sakiewki z pieniędzmi, klucz jeneralny

i parę małych kluczy: od czego?... W kolascie by-  
ła skrzyneczka, a w niej raz na zawsze złożony  
całkowity strój damski; było i pudrko blaszane  
z pudrem, pomada, grzebieniami i wszelkim przy-  
rządem do gotowania, mieszczące nadto w sobie  
lusterko, kałamarzyki, papier, pióra i t. d. Przy-  
jeżdża gość znakomity niespodzianie, kiedy pani  
wyjechała na folwarki, natychmiast pędzi konny  
posłaniec z uwiadomieniem. Wszędzie pani znaj-  
dzie wysłużone swe kobiety, bo je powydawała  
za ekonomów, pisarzy, karbowych i t. d.; ubrać  
ją każda umie, zatem toaleta wkrótce zrobiona;  
zrana więc gospodyni domu wystrojona; a świat  
się dziwi, że w takich przyborach przegląd czy-  
ni gospodarstwa.

Ale jaki przegląd? Żaden zakąsik nie ujdzie  
jej bacności. Każdy wypadek ściśle przetrzą-  
śnięty, strata dochodzona, skarga wysłuchana,  
sprawiedliwość wymierzona, kara wykonana,  
gorliwość wynagrodzona. Plotki tam nie uchod-  
dziły, bo każde doniesienie udowodnionem być  
musiało, a biada temu, co nie zdołał usprawie-  
dliwić się. Tam nie wdrygano się użyć w mi-  
arę przewinienia kony, skrzypców, kańczuga, dy-  
scypliny, a nareszcie lochu podziemnego o chle-  
bie i wodzie i o całodziennym głodzie,

Dziwną się zdaje niejedna sprzeczność w oby-  
czajach ówczesnych. I tak, kiedy konkurentowi  
tylko zdali, na chórku, wolno było widzieć pan-  
ny i z widzenia objawić wybór, wprowadzony  
do komnaty panińskiej przez matkę, siadał na  
łożu u nóżek oblubienicy, aby się przekonać,  
czyli wybór zgodny jest z wolą Bożą. Nazywa-  
ło się to przychodzić na ciepłe nóżki i bynaj-  
mniej nie raziło skromności, ponieważ się działo  
z zezwoleniem starszych.

Pochlebstwa kasztelanowa nie cierpiała, to też  
nie utrzymywała dworskich kawalerów, panien,  
które mniej zamożnym panom nawet skracaly  
przykre samotności chwile. Otoczona poważa-  
niem sąsiadów, odwiedzana i mająca wziętość,  
nie miała czasu do stracenia, a dwór jej, równie  
jak i sama pani, pożytecznym tylko oddany był  
zatrudnieniom.

Na czele mężczyzn stał plenipotent, zarazem  
sekretarz, pan Brzeski. Ten obok swej posady  
miał obowiązki czuwania nad mężkiem usłużeń-  
niem. Było ono dość liczne, bo obsłużenie gości  
przy zjazdach rozmaitych tego wymagało, ale  
gdy posługi niepotrzebnymi się stały, każdy  
miał swój wydział. Myślistwo, rybołówstwo, przy-  
rządy do apteczki i kuchni, prace ogrodowe,  
dozór częściowy, robienie sieci na ryby, siedeł na  
ptaszki, szycie krajezaków, sporządzanie rze-  
mieni, plecienie koszyków, wyroby drobne z drze-  
wa, zajmowały ten rój służalców. Do rozmaitych  
ręko dzieł kazała sposobić chłopaków poddanych,  
biorąc ich w służbę dworską, a gdy się wyuczy-  
li, zostali przyodziani w liberyę. Zapelniając wolne  
od dworactwa chwile zatrudnieniem pożyte-  
cznym, nie znali pijaństwa ani kłótni.

Kobiecem usłużeniem dowodziła panna służą-  
ca; do pomocy miała przydaną szafarkę, obie-  
dwie szlachcianki były; dalej miała praczkę, ka-  
wiarę i parę dziewcząt; do posług pokojowych  
miała poddanki. Wyuczone szycia anawet i haf-  
tów, skuteczniały one na płótnach domowej ro-  
boty włóczką z własnych owiec wełny sprzedzo-  
ną i w rozmaite ufarbowaną kolorzy, dość trudne  
prace, — w zbywające od posług chwile. Wyrab-  
iano kobierce, makaty i pokrycia na krzesła,  
taboręty i stoły; wyszywano na cienkich płó-  
tnach niemi swego bielewa tak zagęszczone wzory,  
że pokrywały zupełnie tło kwiatami i floresami  
w rozliczne ścięgi misternie wyrabianemi; to ar-  
cydzieło cierpliwości nazywano robotą marsy-  
liową i kładziono nań wartość równającą się ko-  
ronkom. Robiono z przędzy na klockach i war-  
sztacikach tasiemki, frędzle, sznury i kwasty  
guziki i pętle do rozmaitego użytku, z pierza  
farbowanego i pozłotków ozdoby do kościoła,  
jako to: bukiety, girlandy i korony około gro-  
mnic.

Prace te mozolne, pożyteczne w kraju na-  
szym, nie posiadającym wówczas fabryk, były  
nadto środkiem, zabezpieczającym przeciwko



próżniactwu dworskich służących, których szczuplejszej liczby ustanawiać trudno było w naszym gościnnym kraju; a wielość ich przy mniejszym napływie goszczących częstokroć szkodliwaby się stała, gdyby nie zajęci ciągłą pracą oddać się mogli duchowi intyng i zwady, tak łatwym do rozwinięcia, gdzie jest interes spółubiegania się o pańskie łaski, a niepotrzebne zabiegi o utrzymanie życia. Stara zasłużona piastunka moja miała chleb łaskawy; jej zajęciem było leczenie chorych podług przepisów mej babki, zbieranie ziół i robienie rozmaitych przyrządów do apteki domowej; miała ona wielkie poszanowanie u włóscian, nazywano ją doktorką.

Z zajęciem słuchał szambelan długiego opowiadania, które wywołał ciekawością swoją.

— Jakże mało kobiet podobnych babce twojej! Nie podobałyby się dziś naszej młodzieży sentymentalnej, aniby znalazły naśladowczyń w cierpiętnych i marzących naszych elegantkach.

— Babka moja do innego należała wieku. Kiedy u niej bawiłam, miała blisko 70 lat, a zatem urodzenie jej sięgało początku istniejącego, kończącego się stulecia.

— Masz słuszność, — odrzekł mąż, — natenczas kobiety, zastępując małżonków walczących w bojach, lub radzących w sprawach publicznych nabierały hartu potrzebnego do zajęcia się zachodami około domowego bytu, który spoczywał na ich działalności. Uległe mężowi, musiały się dzielnie stawić okolicznościom, wymagającym ich przewagi. Nie znały wprawdzie tych tkliwych starań około rodzącej się potomności swojej, jakie dziś okazują.

— Zbawienne pod tym względem dzieła J. J. Roussa, które damom naszym przypomniły, że matkami są. One inaczej pojmowały wychowanie dzieci; oddawały mamce do wykarmienia, zasłużonej kobiecie do odchowania, klasztorowi na naukę. Chłopcy uzupełniali edukację w pałastrze albo na wojnie; panny posażne wydawały wcześniej za mąż, nieposażne pomagały matce, aż je kto upatrzył albo upodobał z gospodarności. A gdzie się familia zbyt licznie rozrodziła, to klasztor pochłoniął nadmiar rodziny, aby się nie rozdrabniał majątek familijny. Wszystko szło bez oporu, bo charakter nakazujący rodziców imponował dzieciom, nie przyzwyczajonym do pieszczot rodzicielskich, do których ani czasu, ani usposobienia nie było.

— Wyrastały w tej bezwzględności przeciwnej uczuciu natury całe pokolenia. Miękkosć obyczajów, zaczynająca się z schyłkiem naszego XVIII-go wieku, rozwolnienie zasad, przechodzące z stolicy do wyższych klas społeczeństwa prowincjonalnego, złagodziły wprawdzie szorstkość dawniejszego postępowania, charakter przecież nie na tem nie zyskał. Mężczyźni oddani zachodom intyng dworskich, miłostek i uwodzeniu, torującym drogę do interesu, przelali truczną tę w kobiety, a zalotność stawszy się modą, zastąpiwszy u nich silną rządzenia wolę, pozbawiła znowu czasu i sprężystości do trudnego, aczkolwiek miłego obowiązku pielęgnowania i wychowania dzieci swoich.

— Gdyby młode damy nasze, powodowane zwrotem nadanym uczuciu przez jenialnego autora Emila, do tkliwości, z jaką dopełniać zaczynały swoich powinności matki, nie łączyły śmieszniejszego sentymentalizmu i dziwnych urojeń, czyniących je istotami nie dla tego świata, jego ludzi i krzyżujących się w nim różnorodnych interesów, — gdyby się więcej raczyły poświęcać pospolitym sprawom życia, mogącym przyczynić wiele do szczęścia wypielęgowanych dzieci, — zbliżyłyby się do ideału doskonałości kobiecej.

— Szkoda, że J. J. Rousseau zaniechał udzielić im tej pożytecznej nauki swą przenikliwą wymową; — ale cóż mówię? — wykierowawszy on swego Emila na stolarza, przyzwyczaił te matki nie ubiegać się o wyższą pomyślność ukończonych dzieci, i dla tego, nie troszcząc się o ich przyszłość, bez namysłu trwonią majątki na wojaże, karnawały, wody zagraniczne i wszystkich szereg zbytków im towarzyszących.

— Ale ty, mój mężu, surowym jesteś sędzią!

— Sędzią występnych zbrodni, jakie przepowiadają smutną następność dla potomności naszej, — odrzekł szambelan i dodał prędko: — kasztelanowa babka czy lubiła przepych, okazałość?

— Był on zadawniony w tym zamożnym domu, utrzymywał się więc, ale ani pomnażano przedmiotów, ani odświeżano gustu. Skarbiec napełniony był kosztownymi towary, zdobytemi walecznością przodków nanieprzyjacieciu, sprzętami z drogiego kruszcu, służącymi do starożytniej wystawności. Drogie makaty, kobierce, adamaški, galony, złocene lustra i starożytne meble, obicia haftowane włóczką, tak nazwane szpale-ry, portrety familijne i piękne stołowizny, stanowiły całą okazałość domową. Czystość, wygodę, ale nie miękkosć, panowała na jej zamku. Dwa razy do roku wyjeżdżała na oporządzenie do szląskiego Wrocławia przed Wielkanocą i na św. Michał. Wtenczas sprowadzano na pół roku wszystkich zasobów dobrze urządzonej spiżarni, w której na niczem nigdy nie zbywało, a zwłaszcza zaopatrywała się w postne przysmaki, które dla ścisłych przepisów kościelnych niezbędne były. Zarazem odnawiano garderobę — bez wytworu, ale i bez braku. Uczty odznaczały się obfitością bez zbytku. Mężczyźni wprowadzali się częstokroć w dobry humor przy wybornem winie; spełniano wiyaty, pijąc z trzewika kasztelanowej, nigdy przecież wicęgospodarz nie zapominał, jakie winien względy damie, będącej szczydłą gospodynią.

Przemieszkalałam lat dwa w tem uroczem z położenia swojego miejscu, które należało niegdyś do Stanisława Leszczyńskiego, krótko nam panującego, a ojca królowej francuskiej, jaśniało jeszcze gustem i zamożnością dostojnej rodziny. Oprócz pięknego i przestronnego zamku, czterema zmoconego bastyonami, posiada Gołuchowo w bliskości trwałej lubo skromnej architektury kaplicę na wyniosłem, regularnem, jakby ręką ludzką sypanem wzgórzu, otoczonym odwiecznymi lipami, których korzenie wyrastające na powierzchni; oplatają i ścisnąją ziemię będącą podstawą tej świątyni. Strugi kręte przecinają zieloność łąk rozpościerających się u stóp warownego niegdyś gmachu, a długi staw, rozciągając się środkiem wsi aż do parkanu spaniałego kościoła odbija w swych wód zwierciadle wieże panujące nad całą okolicą.

Urządzenie domu babki, oparte na nienaruszonych prawidłał, nie wymagało pomocy mojej, dla tego też bezczynne prowadziłam życie, gdyby nie zachody około moich interesów i rozliczne z tem połączone korespondencye. Nadto powiększony mým pobytom napływ gości, których, wyręczając babkę, przyjmowałam, zapełnił wiele chwil mojego istnienia; reszta poświęcona była staranniejszym przyborom, jakich obecne moje wymagało położenie. Panna Białokórska szyła i haftowała moje pomysły toaletowe, Dąbrowski piętrzył i posiewał pudrem fryzury na mojej głowie, a zwinna Jagusia resztę posługi skuteczniała.

Sędzia Wysociński coraz częściej zaczął bywać, mało mówił o interesach; więcej działał i o rezultatach dopiero uwiadamiał mnie. Ale wśród poufnej gawędki przemawiał do serca, do przekonania. Uczułam, że onemu ufać, z nim szczęśliwą być mogłam; nie śmiałam tego objawić, jakkolwiek częste do takiego wyznania nasuwały się sposobności, ani też babce zwierzyć się, bo mnie jej powaga odstępowała. Ale bystra i przezorna babunia zmiarkowała mój kłopot; a gdyśmy pewnego dnia same w jej pozostały pokoju, wpatrzyła się we mnie i rzekła:

— Zdaje mi się, Marcysiu, że oprócz sprawy rozwodowej jeszcze na twoim sercu inny cięży interes. (Czułam, że się rumienię z uszami). — Nie wstydz się, kochanko! powinnaś mieć zupełną we mnie ufność. — Sędzia podobał ci się.

— On tak dobry, tyle gorliwy o moje sprawy.

— To człowiek pełen uczciwości i honoru, a przecież zdaje mi się, że oprócz protekcji dla uciśnionej niewinności jeszcze inne mocniejsze uczucie gorliwością jego powoduje.

— Jakieżby to być mogło? — zapytałam nieśmiało...

— I ty mnie o to pytasz? — rozśmiawszy się odrzekła babka — „co to — to już udawanie.“

— Nie udawanie, babulu, — wyrzekłam i już u nóg jej leżałam — ja tego sobie sama przyznać nie śmiem, ale mi się zdaje, że on mnie polubił... i że z nim mogłabym być szczęśliwą.

— I ja tak sędzę — tylko wstań — pomówmy rozsądnie, bo to przedmiot godzien bliższego rozbioru. Nie chcę cię burzyć przeciw matce — dzieci w każdym razie winny uszanowanie rodzicom, chociażby na wdzięczność nie zasługiwali. Ale prawo własności jest święte i nietykalne — i stawia ludzi częstokroć w przykrem na przeciw prawu natury położeniu. W takowem właśnie znajdujesz się, moja wnuczko; — z tego powodu zerwałam z córką moją. Skoro uzyskasz rozwód, będzie się trzeba upomnieć o ojcowiznę!

— Józbym śmiała stanąć na przeciw mej rodzicielce?!

— Samej się wystawiać, niepotrzeba; trzeba złać prawa swe na kogo innego. Fortuna, jaka ci z męża czego pewną jestem — przysądzą — skoro sędzia tym interesem się zajmuje, będzie zapewne wymagać takiejże ufności; nie można jej pokładać w osobie obojętnej; musi być, albo stać się małżonkiem.

— Jakkolwiek sędzia nie pochodzi z bogatej familii, ale należy do znakomitszej szlachty, ma urząd, dorobił się mająteczku, a nade wszystko ma rozum, poczciwość i powszechne uważanie. Nie unikaj jego oświadczenia; mógłby się zrazić, czując się niżej w stanowisku fortuny. Nie wątpię byś nie zrobiła partyi znaczniejszej; szczęśliwszego nigdy nie uczynisz wyboru. Zawierzaj memu doświadczeniu, równie jak, i sercu twemu.

Ucałowałam ręce babki; zgadzałam się z jej przekonaniem; żal mi było powstać przeciw matce mojej; ależ to jej matka skłaniała mnie do tego kroku.

Kiedy tak rozmawiałyśmy, oddają mi list od sędziego. Donosi, że X-że Prymas, wracając z Poznania ma mieć przeprząg w Morkowie; wypada więc, pisze, abym się tam natychmiast udała, przedstawiła mu swój interes, uzyskała protekcją, ponieważ familia męża forsuje przeciw rozwodowi i trudno pójdzie, jeżeli się pominie tę sposobność.

Nazajutrz byłam już w drodze do Morkowa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## RUCH MUZYCZNY.

Stanisław Moniuszko, nieśmiertelny twórca „Halki,” Święci znowu tryumf na scenie Teatru Wielkiego. Od lat dwudziestu blisko niegramą operę: „Hrabina,” wznowiono w zeszłym tygodniu z olbrzymiem powodzeniem. Kasa w ustawicznym znajduje się obłożeniu, sala teatralna ciągle jest przepełniona tłumami słuchaczy, a scena świetnie urządzona przedstawia nam postacie z minionej doby, przepysznie przez artystów odtworzone.

„Hrabina” po raz pierwszy wykonana była w d. 7 Lutego 1860 r. Tytułową, partję śpiewała wtedy niezatarta w pamięci Warszawy artystka, Rivoli, Chorążego odtworzył Troschel, Bronię Chodowiecką, Ewę Dowiakowską, Kazimierza Kamińskiego, Podczaszyca Żółkowski, Dzikiego Matuszyński. Opera wywarła potężne wrażenie. Józef Kenig następnego dnia pisał w „Gazecie Warszawskiej:“

Piękny to był dzień wczorajszy dla Moniuszki. Wynagrodzono go w części przynajmniej za pracę, za wszystkie trudy, jakie od kilkunastu miesięcy przechodził. „Hrabina,” owo wypieszczone dziecko imaginacji kompozytora, przyjętą została z zapalem prawie większym,



niż „Halka,” przy pierwszym jej na świat warszawski wystąpieniu. Prawda, że drogę do serca publiczności miała już bardzo utworowaną. „Halka” „Flis,” zacie jej rodzeństwo, chociaż mniej arystokratycznie tytułowane, ręczą, że z dobrego domu pochodzi, więc zapal był wielki. Moniuszko na wejściu, ledwo się pokazał w ciemnych drzewczkach orkiestrowych, powitany salwą oklasków i odprowadzony przez całą drogę do dyrektorskiej estrady, pięć minut musiał się jeszcze kłaniać przy pulpicie.

Powodzenie „Hrabiny,” stwierdzone po pierwszym jej przedstawieniu, towarzyszyło operze zawsze. Grano ją ogółem sto razy do r. 1887; setny pierwszy raz grał Żółkowski akt trzeci na swój benefis w d. 20 Listopada 1887. Odtąd „Hrabina” zesła z afiszu, aż odrodzona na scenie Teatru Wielkiego w d. 3 b. m. zajaśniała znowu niezrównanym owym blaskiem.

Najpiękniejszym numerem partycji jest nie wątpliwie polonez na wiolonczelę napisany, rzecz nieporównanego wdzięku i wytworności. Ze wspomnień osobistych p. Bonifacy Dziadulewicz notuje w „Echu muzycznym” następujący epizod: Moniuszko lubił zaufanemu opowiadać wrażenia w pierwszej reprezentacji „Hrabiny:” — Wyobraź sobie — mawiał — czego najmniej się spodziewałem, a nawet bałem się o niego, to powodzenie poloneza. Nie figurował on wcale w planie kompozycyi. Po wszystkich próbach, ten polonez ani razu mi przez myśl nie przeleciał. Nareszcie nadeszła próba jeneralna. Po tylu przejściach, po tylu zgryzotach, szedłem na ową próbę jak delikwent na sekcję. Tymczasem wszystko jakoś inaczej poszło. Aż rozkosz, wspomnieć, z jakim humorem szła próba! Orkiestra i artyści, i chór, i balet, — słowem wszystko, wszystko było wybornie usposobione. Ostatni akt miał się rozpocząć w ten sposób, że otwierała się kurtyna i Chorąży z Podczaszycem mieli zaczynać zaraz swoją scenę. Otóż Troichel, wyborny muzyk i śpiewak, podszedłszy do pulpitu, zawołał: „Mój dyrektorze, czy by to nie dobrze było, żeby przed podniesieniem kurtyny, orkiestra choć parę akordów zagrała.”

„Dobrze, odpowiedziałem; — i to był moment, w którym wyskoczył polonez. Skończyła się próba. Wszyscy się rozeszli; poprosilem tylko o zatrzymanie się wiolonczelisty Szablińskiego i kilku innych członków orkiestry. Polonez z głowy, szybko naszkicowany został na papierze — próbka się odbyła i na tem koniec. Na drugi dzień pierwsze przedstawienie „Hrabiny.” Publiczności w teatrze pełniuteńko. Uwerturę przyjęto gorąco, akt za aktem publiczność oklaskiwała szczerze. Widać, że opera przypadła do gustu. Żółkowski w dobrym humorze, wszyscy artyści również. Nadchodzi wreszcie akt ostatni, a z nim i mój niepokój: co to będzie z tym polonezem, który i nie wypróbowany należycie i tak jakoś prędko sklecony, że może popsuć całość. Zacheiało się Troichlowi parę taktów, atu... Masz, babo, redutę. Żółkowski z Troichlem, nie nie wiedząc o polonezie, już się usadowili za stolikiem i siedzą za kurtyną, a tymczasem — dzie się wola Boża! — Szabliński zaczyna grać. Gra, ale jak gra! Skończył — a mnie się zdawało, że cały teatr wali się na moją głowę; był to oklask ogólny i jeden ogólny okrzyk *bis!* Powtarzamy raz, drugi, trzeci i czwarty. Nareszcie kurtyna się otwiera, a Żółkowski woła: „Mój Chorąży, ot siurpryza, co się zowie, gdyby tak i dla nas jeszcze zagrać chcieli.” Miły Boże, co się to nie działo! Zagraliśmy... jeszcze raz.

Po latach blisko czterdziestu, nowi przeważnie słuchacze uczestniczyli w przedstawieniu wznawionej „Hrabiny;” ale uczucia doznane na operze nie były te same co dawniej. I teraz polonez wzruszał do głębi czarującą swą wymową, tak kunsztownie w głosie wiolonczeli zamkniętą. Poloneza tego umieliśmy wszyscy na pamięć, a jednak gdy się rozległy dźwięki jego — niejednemu serce drgnęło rozrzucone i szczerze bijące... Z dźwięków tych płynie czar, a w takt poloneza zdaje się, że kroczy posuwicie Poezya z głową podniesioną w górę, z oczami utkwionymi w niebo... To wrażenie jest najsilniejsze, ale i inne podczas opery doznane, dostrajają się

do tego zasadniczego tonu. Rytm poloneza odzywa się już poprzednio i nadaje tło dziełu, — tło bardzo oryginalne i pełne charakteru; a na tem tle haftują się w deseń artystyczny pieśni, arye, duety etc., prowadzone w nadzwyczaj kunsztowny sposób. Moniuszko cenil „Hrabinę” może najwyżej ze wszystkich oper swoich. Świadczy o tem Zygmunt Noskowski, którego z twórcą niezapomnianym łączą dawne wspomnienia. Idealem opery — mówi Noskowski — była dla Moniuszki muzyka francuzka, jej tedy przedstawiciele, a w pierwszym rzędzie Boildieu’go i Auber’a uwielbiał bezwzględnie. „Hrabina,” według niego, zbliżała się do tego typu opery komicznej, właściwie geniuszowi francuzkiemu, dla tego więc cenil ją wielce, na co zresztą każdy musi się zgodzić.

W „Hrabinie” widzimy przepyszenie odzwierciedlone życie wyższego towarzystwa warszawskiego na początku bieżącego wieku — i życie szlacheckie. Zdaniem Noskowskiego, — a na to zdanie piszemy się wszyscy — muzyka w „Hrabinie” jest potoczysta i trafnie do tekstu zastosowana, więc różnorodna, tak jak różnorodne są sceny i uczucia osób działających. Powaga i humor łączą się w tej operze harmonijnie i wdzięcznie. Koloryt opery mieni się rozmaitością barw i pociąga nas, budząc pełne zadowolenie estetyczne. Słata się tutaj pieśń dziarska chorążego z sentymentalnym nastrojem Kazimierza; zalotność hrabiny łączy się w zgodną całość z uczuciowością Broni, — a wszystko zlewa się z sobą harmonijnie, gdyż szczegóły związała i uogólniła ręka genialnego twórcy.

Postać hrabiny ma bardzo wiele wyrazu i wybornie uwydatnionych rysów. Librecista, Włodzimierz Wolski, dobrze wycieniował tę figurę słowami, — kompozytor odtworzył ją przedziwnie barwami przepysznej charakterystyki muzycznej, która doskonale uwydatnia psychologię kobiety światowej z owych czasów; kobieta to pusta w słowach, zwłaszcza na początku, ale nie pozbawiona serca w istocie. Dusza w niej jest, skoro może się zdobyć na takie jak hrabina akcenty.

Jesteśmy bardzo zadowoleni, że możemy stwierdzić wielki sukces w roli hrabiny primadonny dramatycznej opery naszej, p. Kruszelnickiej. Przypominają sobie czytelnicy pierw sze wrażenia, jakimi podzielili się z nimi po debiutach wstępnych tej doskonałej śpiewaczki; podnieśliśmy wtedy bardzo gorąco talent pani Kruszelnickiej, — dziś zaznaczyć go należy jeszcze dobitniej. Artystka ma wysoce rozwinięty instykt sceniczny i, po za przymiotami wokalnemi, porywa potężną ekspresją dramatyczną. Każda kreacya p. Kruszelnickiej żyje na scenie, ma swoją odrębność w wyrazie i nastroju, przemawia zrozumiale i trafia do serca słuchacza — widza. Śpiew p. Kruszelnickiej drga szczerem uczuciem, frazowanie jej odznacza się subtelnością; czystość intonacyi nieposzlakowana świadczy o muzykalności artystki, która celuje we wszystkich drobiazgach wykonania tak samo, jak w całym zarysie interpretacyi.

Od pierwszego wejścia hrabiny i jej rozmowy z Kazimierzem, umiała artystka tchnąć w rolę właściwy wyraz; a potem, każda scena miała swoje zacięcie, odpowiadające ściśle sytuacji, — aż do ostatniej pieśni: „Zbudzić się z uludnych snów...” Cała postać była głęboko przez artystkę odczuta i przedziwnie odtworzoną.

Niejednokrotnie mieliśmy sposobność mówić o śpiewie p. Korolewiczówny. Artystka posiada nieporównanej piękności głos, którego brzmienie zachwyca i wzrusza; kiedy p. Korolewiczówna śpiewa, zdaje się, że słyszemy odgłos dzwonu, ulanego z czystego srebra. Prześlicznie wykonała też artystka partyę Broni. Była w tej postaci prostota, uczucie, szczerłość, szlachetność szczerości i poezya. Z przyjemnością stwierdzamy wielkie postępy p. Korolewiczówny nawet pod względem gry scenicznej, co jeszcze lepiej uwydatni zalety wokalne nadzwyczaj utalentowanej śpiewaczki. Dobrze wywiązała się z zadania w roli Ewy p. Skulska.

Przed Panem Chorążym — czołem!... Dzielną i wspaniałą to maż w interpretacyi p. Choda-

kowskiego. Znakomity kierownik opery naszej, utalentowany śpiewak, wykwinny artysta, słowem — p. Chodakowski, świecił wraz z „Hrabina” tryumf rzeczywisty. Opera, dzięki jego niepospolitej reżyseryi, dzięki pracy i umiejętności p. Chodakowskiego, wypadła tak imponująco. Prawdziwym chorążym „Hrabiny” był p. Chodakowski, który nadto stworzył przepyszną kreacyę, pełną staropolskiego, szlacheckiego animuszu.

P. Frenkiel podjął spuściznę po genialnym Żółkowskim — i stał się spadkobiercą godnym. Jego Podczaszyc miał wysoki komizm, dosadny wyraz humoru i zasób ogromny dowcipu. Artysta śpiewał nawet dobrze, a już scenę z zieleniaczką wykonał koncertowo. Tradycya więc Żółkowskiego, dzięki naszemu niepospolitemu artyście, została w „Hrabinie” utrzymana szczęśliwie.

Kazimierza odśpiewał z powodzeniem p. Sienkiewicz, artysta coraz pomyślniej się rozwijający. Bardzo pożytecznym nabytkiem operowym jest p. Lewicki, który trzpiota Dzidziego traktował swobodnie i pomyslowo. Artysta już w roli Grabca dobrze się przedstawił, teraz zaś, objawszy w ostatniej chwili Dzidziego, wykazał talent rzeczywisty i utrwalił jak najlepszą o sobie opinię. P. Kawalski odegrał małą swą rolę ku ogólnemu zadowoleniu.

Chóry zasługują na oddzielną wzmiankę, gdyż się trzymały bez zarzutu. W ogóle podnieść musimy stałe udoskonalanie się na naszej scenie zbiorowych ustępów operowych. Orkiestra popisała się pod każdym względem, a młody dyrektor opery, p. Młynarski, poprowadził całość ze świadomością środków, jakimi rozporządzał, i celu, do jakiego dążył.

Tańce układu p. Grassi’ego były malownicze i efektowne. Przędowały w choreograficznych zapasach pp. Rogińska i Rutkowska, do których dostrajał się w płasach męzkich p. Walczak.

Wystawa opery jest imponująca.

A. Dobrowolski

## SPOTKANIE

(Szkie do obrazu pani A. K.).

W bezkسیężycową noc jesienną wyszedłem z domu, kierując się za miasto.

Chciałem uciec od tej jasności dokuczliwej, iskrzącej się przypomnieniami, która była we mnie i dokoła mnie... Pragnąłem mroku — ciężkiej, niezgłębionej dla oka ciemności, w której mógłbym zanurzyć się jak nurek w głębiach morskich, zlać się z ciemnością w jedną, nierozdzielną masę, niewidzieć siebie samego i swego smutku, który jak potworny karzeł wciąż zagradzał mi drogę i budził odrazę do życia; nie spostrzegł swej postawy zgarbionej udreżeniem, rąk drżących, kroku chwającego, każdego ruchu zdradzającego trwogę i unicestwienie wewnętrzne — och! tak tego pragnę. Tem teraz, jak niegdyś duch mój pragnął światła prawdy...

Bałem się najmniejszego promienia jasności... Nawet niepewne, z łagodzone brudem nocy jesienniej, gromniczne światło latarni ulicznej, było dla mego uczucia bolesnem...

Żrenice moje kaleczył lada promyk tego mdłego światelka: wydawało mi się, że ciernie tkwią w oczach moich.

Co chwila dotykałem ich ręką, chcąc ból usmierzyć, i szedłem szybko, z głową spuszczoną, przez ulice miasta, unikając latarnie, jakby najokropniejszych tortur...

Latarnie stawały się coraz rzadszemi... W niektóre zadzierał się z jękiem ostry wichur jesienny i gasił je, jakby spełniał moją wolę trwożną, jakby był moim własnym podmuchem...

Co raz ciemniej i żalobniej robiło się dokoła.



Czarne chmury, zwieszane tuż nad ziemią, sunęły cicho, jak zwiastuny śmierci, rozrywały się co raz rzadziej, przenikały się wzajem, co raz głębiej, aż zwały się w końcu w jedną nieruchomą i sztywną masę...

Byłem już za miastem... Odetchnąłem... Mrok, tajemniczy mrok, stał przedemną jak nieprzenikniona perspektywa ludzkich przeznaczeń... Tak ciemno było, że niespostrzegłem nawet odrazu, jak wszedłem w lipową aleję parku.

Bezlistne drzew konary spletały się u góry, jakimś uściskiem rozpacz jakby dławiące się w śmiertelnym paroksyzmie ramiona tonących... Od omszałych, pustych ławek wiał ci-ty, trawiący smutek osamotnienia...

Wiatr zrywał czasami z ziemi, nieco zczerniałych, gnijących liści, które po chwili znowu spadały na ziemię i spoczywały w martwym bezwładzie.

Próbował potem wdrzeć się w sploty pokręconych gałęzi drzew, wstrząsał nimi i wywoływał głuche ich tarcie się o siebie, które chwilami przerywało ciszę...

Głosy miejskie umilkły zupełnie... Słyszałem jak zgrzytały drobne kamyczki żwiru, gniecione moimi stopami, jak spadała niekiedy z czarnego nieba, jakaś zabłąkana w przestworach, samotna kropla deszczu.

Cisza podniosła jeszcze więcej we mnie obawę światła, zwiększała ciemność, którą byłem otoczony. Objęty nią zacząłem tracić powoli poczucie czasu i przestrzeni i wydało mi się, że idę już tak lata całe, może wieki całe, że idę tak wciąż w tę masę czarną, niesłychanie strudzoną, smutną, wiekuisie niespokojną, z gorzkim poczuciem osamotnienia i tęsknoty jałowej... Że mijane wciąż jakieś długie karawany osób, zdarzeń i przedmiotów, które tylko przeprowadzone wzrokiem wyteżonym, aż zginą na skraju nieba...

Karawany, jedna za drugą, zapadają się gdzieś w ciszę przeszłości, a ja do żadnej przyłączyć się nie mogę, uciskany tą masą czarną,—na żadnym kształcie zatrzymać się nie mogę, nie mając prawa wyboru,—tylko wzrok swój boleśnie drażnić zmuszony jestem, temi nagłymi smugami światła, któremi ryją się one w tej ciemności i w pamięci mojej...

Wzywam nadaremno zapomnienia, bo gdy oko zranione światła już nie pobiera, ucho słyszy dźwięki dolatujące zdala od zgiełku świata—słyszy głuche westchnienia i jęki rozżalone, które, jakby ze zbolącej piersi ziemi, płyną zewsząd od tych, których przeszłość czarną przegrodą oddzieliła odemnie...

I teraz w tym mroku nieprzeniknionym, pożądanym,—wystrzelił nagle snop światła oślepiającego, a przed zwróceniem duszy mojej zaczęły ustawać się szeregi zdarzeń minionych, niepowrotnych. Wychylały się, niby księżyc z za chmur postrzępionych burzą, raz zatarte i zmaczone, to znowu wyraźne i delikatnie obrysowane, zarysy słodkich twarzy kobiecych, a pieszczących ucho, harmonijnych imionach; zarysy tych wszystkich istot niezrównanych, które niegdyś wyciągały ku mnie swe dłonie miękie, lecz mocne i przesiąknięte wiernością— a podawały jak tonącemu... od których odtrącał mnie wir życia, tak, że tylko wzrokiem tęsknoty mogłem ich się chwycić i pamięcią kształty rąk tych ofiarnych dotykając wyczuwać...

Korowód ten ciągnął przede mną poważny i zasmucony, jak tłum pielgrzymów pokutnych, idący gdzieś na krańce świata po życie wieczne i odkupienie grzechów... cudzych, których klątwą niezgłębiona i ich ściga wyrzutem i ciernie sypie pod nogi.... W oczach tych istot ukocha-

nych perlili się lzy czyste, ale urazy i żalu odszukać w nich nie mogłem...

Czytałem tylko w tych źrenicach rozszerzonych wiernością i czuwaniem, boleść niespełnionych przeznaczeń, trwogę tych, co drogi zgubionej odszukać nie mogą i idą wciąż w niepewności tego, co ich czeka:—przepaść niezgłębiona, czy równy gościniec, światłem słonecznym zalany...

Oczy ich zamartwione, nieruchome, zdawały się mówić: „żał nam ciebie, że tak idziesz niespokojny w mrokach, bez celu i spocznienia, że ku tobie drogi nasze już nie prowadzą... bo raz tylko dusze ludzkie spotkać się mogą w przestrzeni, raz tylko przeniknąć się wzajem, a gdy wyjdą z siebie, to każda z osobna szuka drogi nowej, by samotnie zbierać na niej nowe ciernie — nieznanne strapienia...

Ale najwięcej tego żalu rozpaczego, że tak idę samotny w mrokach bez granic, czytałem w oczach tych milczących, skupionych w sobie, nieodgadnionych istot, których uczucia dla mnie streszczały się tylko w spojrzeniu, w tym najtkliwszym i najczystszyim pocałunku duszy...

Tragizm rzeczy niedomówionych, uczuć niewyrażonych tkwił w ich źrenicach i jakby je prób i światłość im odbierał... Zakryłem oczy na widok tej bezbronnej męki i ofiary jałowej...

Zniknęły drogie widziadła, a na ich miejsce wnet zaczęły stawać inne, nie tak czyste, ciche i mgłą spokoju śmiertelnego osnute, lecz grozą posępną, na twarzach wieszczących klęskę nieuniknioną, napiętnowane — ze wzrokiem roziskrzonym i rozegzaltowanym uparczym wysiłkiem, albo przygasłym i zwięzonym poczuciem z góry przegranej walki... Były to surowe rysy moich dobrych, niestabnących w nierównym boju życia, towarzyszy ze wspólnego pola pracy...

Stali chwilę przedemną, zamyśleni i chmurni, oglądali zranione światłem źrenice moje, prawie mnie dotykali, nie pewni czy mają przed sobą wyodrębnionego z masy różnorodnych, bytów, żywego człowieka, czy tylko powłokę jego bez treści, w mrok pograżoną;—i nagle, jak huragan, przelecieli skłębieni w kształt jeden potworny, pokręcony, jak węzowisko, i runęli wszyscy w otchłani... niezgłębioną, zawrotną...

Żałosne łkania, zmieszane okrzyki złorzeczeń i buntu, stłumione westchnienia i wybuchy walczącej do ostatka rozpacz. zerwały się jak wichry, nad moją głową, zawyły głosem ginących na morzu i napelniły pierś moją nieznośnym rozdźwiękiem.

Szarpnąłem się naprzód, jakbym chciał zerwać jakieś pęta odwieczne, w nadziei, że stoję nad brzegiem otchłani, która mnie pochłonie— z mroków na zawsze wyzwoli, ale i światłem ranić źrenice nie będzie...

Pobiegłem żywo aleją, lecz nagle stanąłem, gdyż poczułem, że pierś moja trąca o coś czego ani dostrzedz, ani wyczuć, ręką nie mogłem, co jednakże jak mur nieprzebyty drogę na zawsze mi zagrażdza i jak nieuniknione przeznaczenie na wieki zatrzymuje...

...W tej chwili powstała nagle z ławki jakaś czarna, zakwefiona postać kobieca, jakby od wieków tu na mnie wyczekująca, szybkim ruchem zbliżyła się do mnie i, ujawszy żelazną ręką dłoń moją, zetkwiwszy we mnie nieubłagane źrenice, w których się palił błysk, jakiś nieodgadniony, mistyczny, od wieków rozpalony, wyrzekła:

„Odszukaliśmy się w ciemnościach, odtąd w mroku będziemy iść razem... w nieskończoność...”

W tej chwili od strony miasta, doleciał mnie trwożny, ponuro-żałobny głos dzwonu i wstrząsnął potężnie wzrokiem... w tej chwili także wicher ostatnią zgasił latarnię...

W. I. Gryf.

## Kronika działalności kobiecej.

— W szkole artystyczno-rzemieślniczej, żeńskiej, kierowanej przez panią Jadwigę Przeworską, do dawnego programu przybył kurs nauki wyrobów dżetowych, tak poszukiwanych i drogich w handlu, a dotychczas w bardzo nieznacznej ilości wyrabianych w Warszawie. Wartość żeby uczennice garnęły się i do tego dzieła pracy, bo nauka łatwa, kurs niedługi, innych przyborów prócz igły nie potrzeba, a za całość nauki płaci się tylko rubli 20, zbyt zaś roboty jest może pewnością niż innych wyrobów przemysłowych. Przypomnieć musimy że szkoła p. Przeworskiej obejmuje też kursa nauki nietłukących się wazonów do kwiatów i t. p. przedmiotów, kurs nauki kwiatów sztucznych, wyrobów bajorkowych t. j. przedmiotów z delikatnych nitki metalu, wyroby ze skóry, nakoniec krawieczyzną naukę strojów. Przez zakład ten przesuwa się rocznie kilkaset uczennic, a dla przyjezdnych urządziła się kursa osobne pośpieszne aby czasu nie traciły. Gdyby wszystkie kursa miały dostateczną liczbę uczennic, opłaciłoby się urządzenie bazaru własnego dla rozsprzedaży wyrobów co byłoby korzyścią i dla pracownic i dla pań potrzebujących tych przedmiotów i dla ogółu który wtedy mógłby dokładnie oglądać postępy i rozwój szkoły tak pożytecznie działającej w społeczeństwie. Pani J. Przeworskiej należy się szczerze uznanie i poparcie za jej staranne i serdeczne trudy około zakładu w którym młode pokolenie kobiece kształci się do porządnego zawodu i wyrabia w sobie poczucie obowiązku samodzielnej pracy.

— W Wrocławiu poświęcają się studiom medycznym na uniwersytecie dwie kobiety, panna Bender córka burmistrza miasta i panna Eppler; obie zdały tego roku z wiosną egzamin abiturjentek w Berlinie, a obecnie prof. anatomii w Wrocławiu, radca tajny Hasse, objawił przychylną gotowość przypuszczenia obu pań do posiadzeń doświadczalnych w swej słynnej z najlepszych urzędzeń pracowni anatomicznej.

— Akademia techniczna w Sztokholmie miała w przeszłym semestrze jesiennym pierwszą uczennicę, pannę A. Maguell która się pragnie wykształcić w architekturze. W Szwecji w tym roku udzielono dwóm kobietom autorkom stypendya po 700 koron z funduszu Akademii na cele literackie. Oprócz tego autorka świeżego dzieła „Nowy Świat“ Hilma Angered Strandberg, otrzymała za swą pracę 350 nagrody.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: arkuś 7-my powieści, p. t. *Dla sztuki*, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S.

**Treść:** Kobieta w poezjach Lenartowicza, przez Stanisława Ostrowskiego.—Pogawędka, przez ??—Za pogiem raj. Cykl piosnek, przez Szczęsną.—Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Spotkanie, przez W. I. Gryfa.—Kronika działalności kobiecej.

**Dodatek obejmuje:** *Dla sztuki*, powieść, przez hr. A. Klinkowstroem. Przekład Z. S. arkuś 7-ty. — Przegląd mód. 21 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycje obiadu.